Tygodnik

14 Marca — 11. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!
KRASICKI wiersz przedostatni Myszeidy

ZALOTY.

Poema Komiczne w Czterech Pieśniach.

PIEŚŃ II.

Noc się ukrywa w łonie czarnych cieni,
Obłoki w niebios gubią się błękitach,
Jasność się zwiększa i wschód się rumieni,
Błysnęło słońce w gór wyniosłych szczytach,
Lśnią się strumienie i odległe wody,
Ptaki śpiewają, pasterz pędzi trzody.

Poczciwa Ciocia ale trochę głucha,
Już Sędzicowi przyniosła śniadanie,
Z żalem niezmiernym skarg siostrzeńca słucha,
Przeklina razem zmienność i kochanie,
Twarz pomarszczoną rzęsisto łzą zléwa
I na pociechę tabaki zażywa.

Sędzic wypróżnia kawy filiżankę,
I powodzeniu zazdrości Rywala,
A gdy o zdradę posądził kochankę,
Gniew go do zemsty szlachetnej zapala,
Na biórku próżne naczynie postawił,
I temi słowy swe myśli objawił:

„Sroga miłości! miłości zdradliwa!
W obliczu Cioci i w obliczu nieba,
Sędzic twe pęta na zawsze rozrywa....
(Ze mną żartować długo nie potrzeba!)
Szczęścia w pożyciu niech innych chęć łechce,
Ja szczęściem gardzę, i żony mieć niechcę!

„Zaraz napiszę do Panny list grzeczny
W którym do woli będę z niej żartował,
A dając powód rozstania konieczny,
Będę jej związku z Baronem winszował!
Lepiej nie można skarać duszę hardą,
Jak nieczułością, śmiechem i pogardą!"

„Tak jest Siostrzeńcze (Ciocia się odzywa)
Mnie to już dawne doświadczenie uczy,
I sam rozsądek jasno przekonywa,
Że to Panience okropnie dokuczy,
Która zapewnie i tak już rozpacza!
Bo to nieszczęście utracić bogacza!"

Poszła — Pan Sędzic w kurtkę się ubiera,
I do Gorzelni parą końmi jedzie:
Plecione wrota Pisarz mu otwiera,
I między kufy z ukłonami wiedzie,
Sędzic zyskami miłość zdradną cieszy,
Z tamtąd do wołów Ukraińskich śpieszy.

W stajni, w podwójnym ustawione rzędzie,
Stoją przy Żłobach robocze Zwierzęta,
Chodzi Pan Sędzic i zagląda wszędzie,
O najdrobniejszych szczegółach pamięta:
Aby w parobkach większą pilność wzbudził,
Przez dwie godziny zleceniem ich nudził.

Ztamtąd z Palarzem do Gorzelni dąży,
Wrą płyny w kotłach, ogień w piecach pryska,
Robota w długich wężownikach krąży,
Potem się w rury zapieniona wciska;
A czysty Likfor w zamknięte naczynie,
Brzęcząc kroplami przez otwory płynie.

Lecz się w Sędzicu niespokojność wzmaga,
Z żalem gorzelnię i woły porzuca,
Walczy z rozsądkiem miłości przewaga,
Strata kochanki mocno go zasmuca,
Smutny porzuca ulubione stado,
W tem mu znać dano: „Goście! Goście jadą!"

Zajeżdża bryczka mądrego Skarbnika,
Co się w sąsiedzkich przysługach nie lenił,
Był to przyjaciel Pana Komornika,
Nikt się w tych stronach bez niego nie żenił.
Pan Sędzic śpiesznie przed Ganek wypada,
By ze czcią przyjąć zacnego sąsiada.

Ale naprożno wybiegł zadyszały,
Nie był to Skarbnik w swej własnej osobie,
Lecz jego pisarz wierny poufały,
Którego wielce upodobał sobie,
Do wielu ważnych tajemnic się przydał,
Której nie wiedział, tej nigdy nie wydał.

Dał Sędzicowi list od swego Pana,
A ten na pismo skoro rzucił oczy,
Wraz go przejęła radość niespodziana,
Ledwie że dusza z niego nie wyskoczy,
Bieży do stajni ile tylko zdoła:
I na furmana faworyta woła.

„ Zaprzęgaj konie do pojazdu gniade,
Najsutsze szory masz dobyć z schowania,
Bo za godzinę najdalej pojadę
Do Komornika naszego mięszkania,
Pośpiech ci hojnie dłoń moja nagrodzi."
Tak rzekł i progi stajenne przechodzi.

Pierwszy pięknością zachwyca kasztanek,
Wierżchowiec w sławnej koniuszni uczony,
Dalej w śród czterech bułanych kochanek,
Ogier Arabskim piętnem oznaczony:
Chlubny szlachetnym przodków pochodzeniem,
Radośnem, Pana wita swego rżeniem.

Za nim Czerkaszczyk siwo jabłkowity,
Stoi do żłobu przypięty łańcuchem,
Niegdyś na Turkach pod Szumlą zdobyty,
Pyszny odwagą strzyże wąskiem uchem,
A długim bytem w stajni unużony,
Smutny, oczyma rzuca w szystkie strony.

W podle w przegrodach sześć rumaków rosłych,
W sile mogące równać Bucefały,
Trzęsąc grzywami na karkach wyniosłych,
Derą śnieżystą osłonione stały.
Strzałki je zdobią i maść skarogniada,
Cug! jaki w Polsce rzadko kto posiada.

Za niemi klaczka biało-noga kara,
Wraz z drugą stoi podobną do siebie,
Brata Sędzica kosztowna ofiara,
W rzadkiej użyta do usług potrzebie.
Przy nich pieszczony skacze roczniak młody,
I cap na sznurze w kącie siwobrody.

Gdy się do woli widokiem nasycił,
W niecierpliwości dzielne konie głaskał,
Potem za batóg pleciony uchwycił;
I zręczniej jeszcze od furmana trzaskał.
W tem Ciocia z domu przysyła człowieka,
Z uwiadomieniem iż z obiadem czeka.

Grżmot kół okutych przechodzących głuszy,
Zajeżdża pojazd przed ganek zielony,
Furman kapelusz nasadził na uszy
Cztero-calową taśmą otoczony,
Wznosi na koźle tryumfalnym czoło,
I z szczytu jego spogląda wesoło.

Sędzic tym czasem w suknie się ubiera,
Zdziwiona Ciocia pyta dokąd jedzie,
Na nagłe zmiany z bojaźnią spoziera,
Potem z czułością mówi o objedzie;
A pogrążona w smutku i rozpaczy,
Temi się słowy przy końcu tłumaczy:

„Nie masz dotychczas na świecie przykładu
Świadkiem są tego księgi narodowe,
Aby kto z domu jechał bez objadu.
Teraz się wznoszą wyziewy niezdrowe,
Stare zaś uczy naddziadów przysłowie:
Zawsze od czczości zwykło stronić zdrowie”.

Próżne namowy, Sędzic niewzruszony,
W Cioci i w książkach wiary nie pokłada,
Wdział frak w ostatnie kontrakty sprawiony,
Żegna się z Ciocią i do kocza wsiada,
Która oblicze łez zlewa potokiem,
I niknącego długo ściga okiem.

Luba miłości, jeżeliś wzajemna!
Przy tobie nikną smutki i zgryzoty,
Twoja to siła w rozpaczy tajemna,
Stałość w nas wzmaga, zachęca do cnoty,
Tobą człek życia nieprzyjemność słodzi,
Ciebie uwielbia bo z ciebie się rodzi.

(Pieśń III umieści się w następującym Numerze).

PRZEMYSŁ WŁOCHA.

(zdarzenie prawdziwe).

Pewien Włoch, który znał muzykę i na kilku prywatnych teatrach w Konstantynopolu, grał rolę Bufona, ujrzał się nagle bez grosza w kieszeni, a nawet i bez nadziei lepszego losu. Znał się z drugim Włochem, który także w Konstantynopolu jak mógł się utrzymywał, i na kilku instrumentach grać umiał. Z nim układa plan zarobku nowego rodzaju. Obszywa go w skórę niedźwiedzią, wiąże na łańcuch i oprowadza po mieście. Niedźwiedź robi różne sztuki, a co najwięcej wszystkich zadziwia, gra na klawikorcie.

Wkrótce wszystkich uwagę ściągnął na siebie. Sułtan dowiedziawszy się o nim, każe go sobie pokazać. Niedźwiedź po wielu sztukach popisuje się z muzyką, a przewodnik wtóruje mu na skrzypcach. Sułtan oświadcza iż chce kupić tak rozumnego zwierza. Włoch się miesza, wzbrania, ale z Monarchą Tureckim żarty niebezpieczne.

Tymczasem Włoch myśli sobie, że kolega mając usta zaszyte, nie może go zdradzić, a że zabra-

wszy pieniądze łatwo umknie za granicę. Więc wszystko zważywszy żąda 500 piastrów, bierze je i odchodzi.

Teraz nasz Niedźwiedź sam na sam pozostał się z Turkami. Dają mu jeść lecz on nic nie chce. — Każą mu sztuki robić, robi niektóre, a gdy się więcej wzbrania, para mocnych prętów napędza go do powinności; wreszcie znudzono się nim i odesłano do Menażerji.

Po drodze zastanawia się co z nim będzie, jeżeli się tam dostanie. Kolega z pieniędzmi uciec może na koniec świata. Nie miał chwili do stracenia. Nagle rzuca się na swych przewodników. Wszyscy wiedzą że niedźwiedź jest bardzo mocny. Strach ma wielkie oczy, puszczają mu łańcuch, ucieka.

Niedźwiedź na dwóch nogach, z łańcuchem na pysku lecący, co za zjawisko! Co żywo wszyscy chronią się przed nim.

Tak przybiega nad brzeg odnogi morskiej, przez którą musi przepłynąć żeby się dostać do Pera. — Rzuca się na najpierwszą łódkę. Przewoźnicy uciekają. Niedźwiedź wsiada, porywa wiosło, i prosto kieruje się do Pera. Wszyscy z podziwieniem patrzą na niego.

Ląduje szczęśliwie i idzie w swoją drogę, ale przy robieniu wiosłem, skóra niedźwiedzia pękła

na grzbiecie, i suknia z pod niej wychodzi. Lud biegnie za nim. Nareście z wielką męką wpada przecie do domu przezornego kolegi, ale nie zastaje ani jego ani pieniędzy. Oszukany udał się do Posła Austrjackiego, i formalną zaniósł skargę o stratę połowy zarobku.

ARABOWIE.

Uczucie niepodległości, i braterska zgoda panująca w każdem pokoleniu, nagradza Arabowi głuchą samotność puszczy, i wszelkie trudy błędnego i pracowitego życia, do którego się od młodości zaprawia. Nawet i w Europejskich wędrownikach, których lud ten z uprzedzającą gościnnością przyjmuje, ożywia się miłość pierwiastkowej wolności, chociaż zbytek i przywiązanie do wygód tak daleko nas od niej odwiodło.

Prosta tkanka z włosia końskiego lub słomy, którą koczujący Arab wszędzie z sobą wozi, rozbita w kształcie namiotu jest całą jego ochroną przed deszczem, zimnem i upałem. Nic nie ogranicza po-

dróży Araba, ziemia na której stanie jest jego własnością. Dzieli się z sąsiadem pastwiskiem trzody swojej, która go odziewa i żywi. Kilka zagonów przenicą lub kukuruzą zasianych, dostarcza mu chleba; z roskoszą połyka wodę, którą wynajdzie. — Rozmaitość zwierzyny jaką ubije, wprowadza jedyną rozmaitość w jego pokarmach. Piecze ją nad ogniem; na drewnianych misach sobie zastawia. Szarańcza gotowana lub pieczona, jest jego łakotkiem, a mięso wielbłąda zwyczajną potrawą.

Prosta odzież Araba składa się z utworów własnej jego pilności. Składa się z grubej koszuli pasem na biodrach ściśniętej i płaszcza sukiennego; głowę obwija dwoma lub trzema czworobocznemi chustkami, koniec często na ramiona zwiesza. Kobiety tak w pracach jak i w ubiorze, nie wiele się różnią od mężczyzn. Obie płci chodzą boso.

Arabowie są niskiego wzrostu, wyschli lecz silni, mają rysy znaczne i kształtne, oczy żywe, cerę ogorzałą, gęstą brodę, włosy długie, które w plecionych warkoczach zwieszają, lub na wierzchu głowy zwięzują. Są słowni, mężni i czynni. Sami dzielą się na pokolenia, z których każde ma swojego naczelnika i swoje zwyczaje. Gdy zachodzi pytanie dokąd się puścić, lub konieczność walczenia z nieprzyjacielem, wtedy schodzą się najstarsi z pokolenia na radę. Wtenczas tylko od wkorzenionych w

ich dusze zasad niepodległości odstąpią, i obranemu przez nich dowódzcy, obszerniejszą władzę nadają, kiedy tego nieodbita potrzeba wymaga.

Często potrzeby lub skrzywdzenie jednego staje się sprawą narodową. Jednakże Arabowie są ostrożnemi w podobnych niebezpiecznych okolicznościach, ale kiedy już krew płynęła, wtedy zemścić się muszą koniecznie.

Jednem z najosobliwszych ich wyobrażeń, jest że rozumieją mieć toż samo prawo do cudzej własności, którego żadnemu przychodniowi do swojej posiadłości niezaprzeczają. — I przez to usprawiedliwiona jest u nich kradzież, ale bez morderstw.

Arabowie dzielą się na dwie główne klassy. — Jedna obejmuje tych, którzy w pobliskości dużych miast lub rzek siedzą, w drugiej są tacy: co po najodludniejszych Arabji stepach się błąkają. U pierwszych przeważają wyobrażenia słuszności i ludzkości; kradną tylko w ostatniej potrzebie. Do nich należą Arabowie zajmujący Mezapotamią, brzegi Eufratu i Tygru. Arabowie drugiej klassy są niespokojni, burżliwi, chciwi krwi i łupów. Nieustanne ich rozboje są postrachem karawan i ludzi spokojnych. Gwałty swoje usprawiedliwiają tym pozorem, że potomstwo Izmaela ma prawo wydrzeć dzieciom Izaaka dobra, których dla jego miłości starszy brat był pozbawiony.

Arabowie pierwszej klassy, sławni są z szybkości i zręcznego robienia dzidą. — Weseli ale oraz nieufni. Zawsze otaczają się trzodami, które są ich całym bogactwem. Z wełny robią suknie i kobierce, któremi każda rękodzielnia mogłaby się pochełpić. Skóry w zimie używają na futra, lub z wyprawianych sporządzają worki na wodę i żywnosć. Gdy trzody przechodzą ich potrzebę, zamieniają je w miastach na materje, daktyle, zboże, wodę, proch, ołów, rozmaite ruchomości i narzędzia których potrzebują. Trudnią się także rolnictwem, ale zasiawszy pola zwykle je opuszczają, i wracają dopiero na czas żniwa. — Przywiązani są do swoich koni i wielbłądów. Tych wiernych i nieodstępnych towarzyszów lubią jak żonę i dzieci.

Do wędrówki, zwykle Arabów nakłania lub chęć uchronienia się przed ostrą roku porą, lub potrzeba wynalezienia trzodzie obfitszej paszy. Ujmującym jest, widok ciągnącego pokolenia. Od młodych i silnych pasterzy pędzone, idzie mnóstwo owiec i bydła. Pomięszane jego ryczenie daleko rozlega się w puszczy. Za niemi następują wielbłądy z żywnością, namiotami i sprzętami. — Niosą także na grzbietach podeszłe lub chorowite osoby. Kobiety z dziećmi idą pieszo. — Mężowie na dzielnych koniach przejeżdżają się około karawanu.

Jednem z najdzikszych pokoleń, są Arabowie *Beni Gerbowie.* Długo z Wehabitami połączeni, oddzielili się wreście od nich, i pociągnęli do Mezopotamji, niechcąc podjąć nowych ciężarów, które naczelnik Sekty na nich włożył. Tu poddali się Baszy Bagdadu. Nieznają zupełnie chleba i rolnictwa. Żywią się tylko mięsem wielbłądów i dzikiemi roślinami. Całem ich bogactwem są wielbłądy, z któremi dzielą wszystkie trudy i przykrości. Głód i pragnienie kilka dni znosić umieją. Mają nadto wyborne konie, na których bez siodeł jeżdżą, przecież wybornie na nich siedzą, i najzręczniesze czynią z niemi obroty. Gerbowie zapuszczają długie włosy i pletą je w warkocze, które na około głowy wiszą, i wraz z gęstą brodą nadają ogorzałym ich twarzom, wyraz srogiej dzikości, która spotykających się z innemi wędrowników na samo spojrzenie przeraża. Cała ich odzież ogranicza się na chustce wełnianej, którą głowę obwiązują, i grubym sukiennym płaszczu. Więcej daleko starają się o wygodę i ochędóstwo swoich koni niż swoich osób.

LITERACKI SĄD PRZYSIĘGŁYCH.

Wyszło niedawno we Francji dzieło pod tytułem: Sumienia teraźniejszych Literatów, z obrazem ich wartości porównanych, przez Sąd *Przysięgły* Prawdziwych Wolnomyślących.

Autorowie przybrali fałszywe nazwiska, są do tego czasu nieznani, a Publiczność nie uprawniła zupełnie ich wyroków.— Dzieło składa się z dwóch części. Pierwsza obejmuje tabellaryczne oszacowanie żyjących autorów, do czego z angielskiego autora myśl wzięta. Przyłączamy tu wyjątek z tej tabelli, w której znajomsi nam Pisarze są szacowani.

Liczba 10 przyjęta jest za Maximum.

Imię Pisarza.	D z i e ł a.	Sumienie.	Talent	Gieniusz.
Aignan	Zdania o Trajedjach w Minerwie umieszczane,	8	5	0
Andreossy	Podróż na czarnym morzu.	10	7	0
Azais	Metafizyka.	0	0	20
Benjamin Constant.	Polityka i Literatura.	10	10	0
Boissy dAnglas	Polityka.	0	2	0
Cadet Gassicourt.	Polityka i opis podróży.	10	3	0
Chateaubriand	Romanse.	0	10	0
Choiseul. d'Aillecourt.	Wpływ krucjat.	10	3	0

Część druga zajmuje zdania, w których pochwałą i naganą hojnie szafowano. Przyłączone są do niej wyjątki z dzieł różnych autorów. Gorycz z jaką prześladowani są ci, którzy władzcom i bożyszczom przemijającym hołdowali, każe przypomnieć wysokiemu Sądowi, ażeby sam nowych bożyszcz nie tworzył, choćby i pod najchwalebniejszym pozorem.

NEKROLOG.

Warszawa dnia 6 Marca 1819 roku.

Mości Panie Redaktorze!

Stryj mój, Boże świeć nad jego duszą!, Bonawentura Y, umarł przeszłego tygodnia. Jako najbliższego krewnego wezwano mnie, ażebym był przytomny otwarciu testamentu. Jestem dziedzicem całego majątku nieboszczyka. Nie wiele też zapisał Legatów, a tak winienem mu prawdziwą wdzięczność. Powiedziano mi że WPan wydajesz jakiś Tygodnik

godnik, który ma co miesiąc wychodzić. Wiem także o tem z Gazet, że kiedy kto umrze, to piszą o nim Nekrolog, otóż to ten Nekrolog mógłbyś WPan o moim stryju napisać. Miałbyś tu piękną materją do popisania się. — Możesz powiedzieć o *Jego miłości Ojczyzny i poświęceniu się dla kraju*, bo był Magazynjerem; o *Jego cnotach domowych*; był on bezżennnym, ale pamiętał o krewnych, i regularnie co trzy lata najmniej widywał się ze mną kiedym do niego przyjechał; możesz WPan dalej napisać o *Jego przykładnej śmierci*, nareszcie o *ozdobieniu Literatury ojczystej*, albowiem przetłumaczył komedją która jak mówią, ma być bardzo rzadką na naszym Teatrze. Raz dopiero była grana i podobno nie prędko na nią się zdobędą. Gdybym się na wieś nie śpieszył, sambym cały Nekrolog ułożył; osobliwie że ta robota bardzo łatwo pójść musi, kiedy nieboszczyk przez ostatnie lata jak siedział w Warszawie, utrzymywał najdokładniejszy dziennik swoich czynności. Dziennik ten przesyłam WPanu do stosownego użycia, i pozwalam robić z nim co się podoba.

Zostaję etc.

Błażej Y.

Na mocy tego pozwolenia przytaczam wyjątek z wspomnionego Dziennika. — Jest to jeden tydzień, który mi się zdawał najwięcej zajmującym; bo chociaż nie jest napełniony wielkiemi zdarzeniami, różni się jednak od reszty, którą można objąć w tych trzech słowach: spałem, jadłem, piłem.

TYDZIEN ŻYCIA BONAWENTURY Y.

z własnego jego rękopismu słowo w słowo przepisany.

Fruges consumere nati.

Poniedziałek. Rano wstałem o godzinie dziewiątej, i chodziłem po pokoju. Nadzwyczajnie wiele mam robić. Wziąłem okulary i zatemperowałem pióro. Koło jedenastej paliłem tytuń. Co raz gorszy! Trzeba podobno na starość odzwyczaić się od niego. Na objad sztuka mięsa nie była krucha. Od trzeciej do czwartej drzymałem. Deszcz, plusk. Nie wyjdę na krok z domu. Zacząłem list pisać. O dziesiątej spać poszedłem.

Wtorek. Święto uroczyste. Wstałem o dziewiątej. Ogoliłem się. O dziesiątej poszedłem na mszą.

Przed objadem fajka i kieliszek likieru od Lesla. Po objedzie drzymałem jak zazwyczaj. Potem na Kopciuszku. Czytałem Gazety. Basza Wehabitów uduszony. Jezuitów wprowadzają do Szwajcarji. Rezonowałem z Panem Nowiną o Baszy i Jezuitach. Poszedłem na Teatr. Grano zmyślone niewiniątko. Nie moja to sztuka nic! Spałem bardzo smacznie.

Sroda. Rano guzik od kapoty mi się urwał. Widać że jakieś nieszczęście mnie spotka, bo nie w swoim humorze wstałem. Doczytałem się w Gazetach, że Hiszpanom w Ameryce ciasno, to już dawno mówiłem. Jakiś Niemiec w krótkich spodniach, pytał się mnie po czemu korzec przenicy. Dorozumieliśmy się z Panem Nowiną, że będzie drożyzna. Po fajce objad. Talerz się stłukł. Zdrżymnołem się. Dzień taki krótki że listu dokończyć nie można. Na Kopciuszku wyczytałem: że Basza wprzód był uduszony, niżli mu głowę ucięto. Długo musiałem oczekiwać Pana Nowiny.

Czwartek. Rano wstałem i czekałem na Abrahama. Dziś termin wypłaty mojego procentu. Nie widać go do jedenastej. Wyłajałem Jana bo mi źle fajkę nałożył. Usiadłem do stołu; nie miałem wcale apetytu; piwo kwaśne. Niemógłem drżymać. Głowa mnie boli. Napiłem się kawy w Kopciuszku; Pan Nowina utrzymuje, że kawa na ból głowy nie do-

bra. Wcześnie wróciłem do domu. O ósmej poszedłem spać. Noc niespokojna. Śniło mi się żem pił kawę z Baszą Wehabitow.

Piątek. Całe rano niecierpliwiłem się na Abrahama. O jedenastej przyszedł przecie. Kupiłem skówkę do laski. Objad dobry. Drżymałem. Dokończyłem listu. Jutro go zapieczętuję. Na Kopciuszku, zagadaliśmy się z Panem Nowiną przy szklance ponczu, aż do północy. Basza podobno jeszcze żyje.

Sobota. Rano dzień piękny. Zaniósłem sam list na pocztę. Wiatr wschodnio-południowy. Poszedłem dalej. Deszcz mnie zmoczył, bom się nazbyt nad Wisłą zamyślił, czemu teraz nie chce nam marznąć. Pan Nowina był u mnie na objedzie. Pieczeń przedziwna! Przedrzymawszy się czytałem Gazety. Nie lubię tego Ixa, czemu lepiej o polityce nie pisze, W Ameryce tak idzie jakem przepowiedział. Wracając do domu pośliznąłem się i upadłem. Ale, ale, Basza już niezawodnie uduszony.

Niedziela. Wstałem i ogoliłem się. O dziesiątej poszedłem na mszą. Wracając, likier u Lessla. Fajka. Drżymanie. Kopciuszek. Teatr. Stracili widzę gust zupełnie. Mojej sztuki nieruszają.

Któż też nie pomysli sobie czytając najmniejsze zdarzenia, tak troskliwie zapisywane, że czło-

wiek ten musiał o swojej osobie wielkie mieć wyobrażenie; większe zapewne niż my mieć możemy: Śmieszność nie zależy tu jednakże na samem utrzymywaniu podobnego Dziennika. Owszem ze wszech miar jest to zwyczaj chwalebny. Nauczyć może których czynności unikać, do których więcej przykładać się należy, ale nagany godna obojętność, na czczość zupełną która w nim panuje, i niestaranie się ażeby go jakokolwiek zapełnić.

Szczęśliwy ktoby śmiele z Cesarzem Augustem mógł się przy zgonie zapytać przytomnych: „Czy dobrze oddałem moją rolę?", a któremuby poklasnęli, lecz nie dworzanie.

POLOWANIE na TYGRYSÓW w Indjach.

W *Łowach Wschodnich* Kapitana *Wiliamson* znajdują się następujące szczególniejsze sposoby wytępiania Tygrysów.

Skoro Indjanie Tygrysa wyśledzą, zbierają natychmiast dostateczną ilość liści z drzewa zwanego

Praus. Liście te są podobne do liści Figi Adamowej, a samo drzewo bardzo obficie rośnie w tamtych okolicach. Zebrane liście pocierają lepem z jagod robionym, i tym sposobem potarte, rozrzucają w gęstych zaroślach, w których podczas południowego skwaru Tygrys odpoczywa. Skoro zwierz ten na jednym z tak przygotowanych liści łapę położy, wtedy już zginoł. Zaraz bowiem zaczyna nią wstrząsać, by się pozbyć nieprzyjemnego przylgnięcia, ale że to nie pomaga, prowadzi łapę do łba, trze się nią i wkrótce uszy i oczy lepem zaklei. Zniecierpliwiony zaczyna się tarzać po ziemi, trafia na rozsypane liście, i nareście zupełnie się oślepia. — Wtedy strasznym rykiem ogłasza wściekłość swoję, i tem samem daje znak myśliwcom, że już może się stać dla nich łatwą zdobyczą.

W Persji i północnej części Indostanu używają jeszcze innego podstępu dla pozbycia się tak strasznego nieprzyjaciela.

Z mocnych bambusowych prętów robią klatkę, najczęściej w kształcie półkola. W niej zostawują umyślnie otwory na trzy lub cztery cale szerokie. Klatkę tę wystawiają na miejsca, w których Tygrys najwięcej lubi przebywać. Myśliwy dwoma lub trzema dzidami uzbrojony, zamyka się w niej, wziąwszy do siebie psa lub kozę. Może się w kącie położyć i zasnąć spokojnie. Skoro Tygrys

przybieży i zacznie się do klatki dobijać, wtedy pies lub koza budzi śpiącego myśliwca, który porywa się do broni i z bezpiecznego miejsca pewny cios zwierzowi zadaje. Rzadko kiedy Tygrys wyjdzie cały z takiego spotkania, lecz zwykle w pobliskości znajdują go nieżywego.

Hereera opowiada, że mięszkańcy Warapuz, skoro Tygrysa spotkają, rzucają się przed nim na kolana i błagają ażeby im życie darował. Czczą w nim dobrego lub złego Boga, który ma tę postać przybierać.

W roku 1806 pokazały się niespodzianie dwa Tygrysy na wyspie Salsette i rozszarpały dziewięć osób. Mieszkańcy nie dali się przekonać że to są zwykłe Tygrysy. Czcili ich jak Bogów, i za największą nagrodę polować na nich nie chcieli.

Nie od rzeczy tu będzie napomnieć o tem, co Buchanan opowiada o ubogiem pokoleniu w Indostanie zwanem Kuruburu. Członkowie jego podejmują się zwykle strzedz w nocy pól od słoniów i dzików. Przeciwko słoniom używają następującego sposobu: Napadają na nich z zapalonemi pochodniami. Często zwierz ten się odwraca i czeka, póki goniący nie przybliży się do niego. Kuruburowie wiedzą z doświadczenia, iż wtenczas napadnionemu nieprzyjacielowi nie trzeba dać odpoczynku. Ude-

rzają w głowę zwierza pochodnią, wtedy słoń już zaczyna uciekać, ale jeżeli napadający nie ma dosyć odwagi, przystąpienia tak blisko, owszem zatrzymuje się lub cofa, wtedy nie ma dla niego ratunku. Słoń odwraca się, goni go, dopędza i zabija.

Słowo Zagadki w przeszłym numerze umieszczonej jest: — Bibljoteka; drugiej: Echo.

Do tego numeru przyłączona jest rycina wystawująca Pana Dmuszewskiego, w roli Chwaliboga.

